

Kursanci stali skupieni wokół ławki w pierwszym rzędzie, w większości plecami do wchodzącego nadkomisarza, a cała ich uwaga skupiona była na otwartym albumie do identyfikacji osób według eksperymentalnego systemu Vogla. Była to nowość prosto z Berlina, która nie doczekała się jeszcze oficjalnej publikacji. Na razie autor albumu testował jego przydatność w kryminalnej praktyce i zbierał wszelkie opinie na temat swego dzieła, nie wyłączając zdania polskiej policji. Była to więc doskonała okazja, by zaznajomić śląskich podoficerów z najnowszymi badaniami w dziedzinie kryminalistyki.

Nikogo z obecnych nie zajmowały jednak sporządzone z niemiecką pedanterią klasyfikacje uszu, nosów i ust ani nawet blizn. Fascynację zgromadzonych, jak zauważył Drwęcki, wzbudził ostatni rozdział albumu poświęcony typologii najmodniejszych damskich fryzur i strojów. Artystycznej jakości tych rycin nie powstydziliby się nawet najlepszy paryski żurnal mody.

– Ale szykowne dziolchy! – szeptano wokół z nabożnym podziwem, przerzucając kartki. – Ale łobleczone!

– Ech, z tako dziolcha do *Gasthausu* iść... – rozmarzył się któryś.

– Bacz ino, jakby tako z tobom poszła!

– I co, piwo tyskie byś jej do picia doł?! – zgorszył się inny. – Gdzie by to z eny takim golcem tako eligancko dama sie pokazała?! Toć nawet same inżynierowe i dyrektorowe takiego szyku w farze przy niedzieli niy zadajom.

– Ale czegoś łone tu niy za chude? Jako wam sie widzi?

– Som i takie fest przy kości ... – przerzucono kilka stro nic. – A te dziolchy jako ci sie widzom?

– To muszom być nasze! Ślunzoczki!

– A gdzie ty, chowie, u naszych bab takie łobleczyne wi dziol?

– Ale żeby tak moja ślubno namówić na tako koafiura ... – rozmarzył się któryś.

– Niy wiysz, co godosz, chowie! Wpierw bydzie koafiura, potem tako samo kiecka jej sie zachce i ani sie opatrzyysz, a ona

już krupnioka do ust niy wyźmie, ino jej kawior i ptasie mleczko nastarczaj. Ty gupi zaroz z torbami na dziady pódziesz, a i tak nic z tego mieć niy bydziesz, bo zaroz koło twoja ślubno zakrynci sie jaki gach. Ty sie, chopie, lepiej póki pora w ta durno gowa fest pyrlikiem piznij!!

– A myślicie, że w tej Warszawie też takie dziołchy chodzą?

– Spytoj tego pierońskiego warszawiaka, jak sie tu pokaże...

– Już tu jestem – powiedział półgłosem Drwęcki.

Nic złego nie robili, ale poderwali się w takim popłochu, że mało nie przewrócili ławki z albumem. Chłopy jeden w drugiego byli pod wąsem, ale rozbiegli się na swoje miejsca jak spłoszone uczniaki, stając na baczność.

Jerzy odczekał, aż ucichnie hałas.

– Rozumiem, że każdy z panów ma już swój typ kobiety, który mu najbardziej przypadł go gustu – zamknął album Vogla i odłożył go na katedrę obok czaszki. – Wobec tego proszę siadać, wyjąć kartki i napisać mi rysopis damy z tego albumu, która spodobała się każdemu z panów najbardziej.

Po sali poszedł głuchy jęk.

– To nie będzie na ocenę – uspokoił ich Drwęcki. – To tylko proste ćwiczenie z kryminalistyki, żebyśmy wiedzieli, od czego zacząć. Ciekaw jestem, jak panowie sobie poradzą.

– Ciężko tak bez uprzedzenia... – mruknął któryś.

– W tym właśnie rzecz, proszę kursantów, że świadkiem w sprawie kryminalnej zostaje się zwykle znienacka, nie wiedząc zawczasu kiedy, jak i gdzie. Proszę zatem wczuć się w rolę przypadkowego obserwatora zaskoczonego rozwojem wypadków. Proszę pisać! Potem porównamy te rysopisy z rycinami, które panów zainspirowały, i zobaczymy, jak się mają one do rzeczywistości.

Walik mozolący się dziś rano nad wypracowaniem z polskiego to było małe piwo w porównaniu z festiwalem zboliałych min, jęków, stęknięć i chrzęstu gryzionych nerwowo ołówków,

który zaczął się teraz. Można by pomyśleć, że na sali wybuchła epidemia bólu zębów. Jerzy czekał cierpliwie i nie komentował. Tymczasem na miejsce dotarła grupa spóźnialskich, skutkiem czego doszło do nieplanowanej przerwy.

– Tyżeś to, Wasserprusaku zatracony?! – zawołał radośnie mężczyzna wchodzący do sali.

Jeden z kursantów trzaskających się nad rysopisem kobiety swoich marzeń na te słowa rzucił ołówek i poderwał się z ławki.

– Altreichschmutz?! O ty giździe pieroński! Tela lot! – wpadli sobie w ramiona i uściskali się jak niedźwiedzie.

– Panowie! Panowie! – zmiatył ich Drwęcki.

Natychmiast stanęli na baczność i przedstawili się regulaminowo.

– Melduje się aspirant Maciej Gajdak! – zsalutował nowo przybyły, nazwany wcześniej Altreichschmutzem. Był wysoki, gładko wygolony i mimo dość młodego wieku większą część ciemienia zajmował mu już plac łysiny. Resztkę włosów przystrzyżono na jeża.

– Starszy przodownik Teofil Kruk! – przedstawił się ten określony mianem Wasserprusaka. Barczysty brunet z czarnym, sumiastym wąsem.

– My są śląskie powstańce, proszę wielmożnego pana nadkomisarza – wyjaśnił Gajdak.

– Jo żech je ślunski powstaniec! – obruszył się Kruk. – On jest pieroński zagłębiowski wojok!

– Uższ ty! Jak ja zaraz pizna w ten hanytowy łeb! Panie nadkomisarzu, myśmy wszystkie trzy powstania razem! Z tego połowę pierwszego tośmy społem w jednym wychodku przesiedzieli, kryjąc się przed Grenzschutzem...

– Łon tedy miał głosik jak frełka i jak grenzschatze grzecznie pukali, to cienko piszczoł: „Zajynte!”.

Dyscyplinę zajęć diabli wzięli. Salą wstrząsnął wybuch śmiechu.

– Paczta no ludziska, jaki on tera zrobił się chitry, no a wtedy to się ino do święta Anna modlił! – odciął się Gajdak.

– A łon do śwynto Dorota rzikał! – zdemaskował Gajdaka Kruk.

– Panowie! – zdenerwował się Drwęcki. – Proszę zająć miejsca!

Jego głos przepadł w ogólnym tumultcie. Zanosiło się na nowe rozbicie dzielnicowe oraz kilku nosów na dodatek.

– Nam, Zagłębiakom, święta Dorotka dalej na swojej górze patronuje, a wyście wasserprusaki swoją Górę Świętej Anny za-tracili!

– Jakby nam takie altreichschmutze nie pomagali, to my byjom zaroz odbili!

Zaczęło się ogólne podwijanie rękawów policyjnych mundurów..

– No, a kto pierwszy....

Drwęcki, niewiele myśląc, chwycił czaszkę i załomotał nią w katedrę. Klekot czerepu zrobił takie wrażenie, że wszyscy zamarli w pół słowa i gestu.

– Będzie tu spokój czy nie będzie?! – huknął nadkomisarz na całą salę, a następnie pogratił sobie w duchu niezamierzenie hamletowskiej ekspresji.

– Ależ, panie nadkomisarzu...

– Jeszcze chwila, a wszyscy zatęsknicie za carem i kajzerem naraz! – ostrzegł ponuro Jerzy.

To podziałało. Kursanci usiedli, a Drwęcki podał nowo przybyłym album Vogla, żeby mogli zapoznać się z ostatnim rozdziałem. Nim przekartkowali całość, piszący zaczęli oddawać pierwsze rysopisy. Jerzy podobał kursantów w pary i polecił tym, którzy przyszli później, zidentyfikować osobę w albumie na podstawie opisu na kartce. Zakazał przy tym wzajemnych konsultacji wśród rozpoznających.

Ćwiczenie wypadło słabo. Większość rysopisów była konfabulacjami lub zlepkami szczegółów pochodzących z różnych rycin. Tylko cztery przypadki dobrze odpowiadały postaciom faktycznie przedstawionym w albumie. Jednak aż trzy z nich nie zostały poprawnie zidentyfikowane przez policjantów z drugiej

grupy. Jak się potem okazało, zaważyło odmienne rozumienie słów użytych do opisu, czyli głównym problemem były różnice regionalne. Tylko śląsko-zagłębiowski duet rozrabiaków mimo osobistych animozji stanął na wysokości zadania. Pierwszy prawidłowo opisał, a drugi rozpoznał postać na rycinie 27, czyli masywną, grubokościstą blondynę w stroju turystycznym do górskiej wędrówki. Wyglądało na to, że oprócz kombatanckiej przeszłości obu podoficerów łączyło jeszcze upodobanie do kobiet w jednym typie urody.

– Psy na baby! – rzucił z zazdrością któryś z mniej szczęśliwych kursantów.

– Panowie Kruk i Gajdak będą moimi asystentami – oznajmił Drwęcki, podsumowując wyniki testu. – Tylko proszę powstrzymać się od malowniczych wspomnień wojennych w czasie zajęć. Chętnie ich posłucham, ale po godzinach. Pozostałych panów informuję, że przez najbliższe dni czeka nas tutaj ciężka orka na ugorze. Teraz dziesięć minut przerwy na papierosa, a potem zajmiemy się analizą popełnionych błędów.

Wybór asystentów okazał się trafny, bo obaj dobrze znali niemiecki, co oszczędziło Jerzemu popisywania się swoimi amatorskimi tłumaczeniami. Do obiadu uporali się z nieszczęsnymi rysopisami, kolejno wykazując zawstydzonym autorom, z ilu fragmentów różnych postaci zbudowana jest sylwetka kobiety, którą stworzyła ich wyobraźnia. Rekordzista wykorzystał elementy dwunastu szkiców. Powstał z tego damski ideał, który mógł wzbudzić zachwyt poetów i artystów malarzy, ale każde kryminalne dochodzenie momentalnie sprowadzał na manowce, stwarzając niebezpieczeństwo fałszywego oskarżenia niewinnych osób.

Reszta zajęć po południu przebiegła tak sprawnie, że zdolali nie tylko przerobić dokładnie system skrótów używanych przez Vogla do opisu rycin, ale też wypełnić *Personenbeschreibung*, czyli wzorcową kartę identyfikacji, złożoną z dwudziestu jeden punktów. Tu było jeszcze trochę śmiechu, kiedy dobrani w pary kursanci nawzajem liczyli sobie plomby i ubytki w zę-

bach oraz definiowali sposób swojego chodzenia. Nie obyło się przy tym bez popisów celowej pokraczności i wzajemnych parodii. Mimochodem uzbierało się przy tym kilka fachowych uwag, które wypadało na koniec przesłać autorowi albumu.

Artur Hajnol nie dał tego dnia znaku życia. Drwęcki uznał, że nie będzie go szukać. Skoro wszyscy zainteresowani byli już zawiadomieni, należało spokojnie czekać na dalszy rozwój wypadków, czyli na zaproszenie od Korfantego. Do tej pory Jerzy zamierzał prowadzić swój kurs kryminalny tak, jakby przyjechał do Katowic wyłącznie w tym celu.

Kiedy wychodził z komendy, padał śnieg, który tym razem już nie topniał. Wyglądało na to, że zima zaczęła się razem z zachodem słońca. Przydzielony kierowca odwiózł nadkomisarza na Dąb, upewnił się, czy jutro ma przyjechać o tej samej porze, i odjechał, życząc dobrego wieczoru.

Dzieciarnia na podwórku familoka tym razem powitała Drwęckiego jak starego sąsiada. Nie było wśród nich Walika. Jerzy pomyślał, że chłopiec jest w domu i ruszył na kwaterę. Na półpiętrze, w najmroczniejszym kącie koło ustępu poruszył się jakiś cień.

– Pon Jerzy...? – rozległ się drżący dziecięcy szept.

– Walik? A co ty tak tu siedzisz? Chodźże do domu!

Cień pokręcił przecząco głową i wychynął do światła. Jerzy zauważył na umorusanej buzi chłopca zaschnięte ślady łez.

– Co ci się stało?!

– Pon Jerzy nie godo tak głośno, bo oma usłyszy... – jęknął Walik. – Jo na pona Jerzego czekolech.

– Zbroiłeś co? – domyślił się Drwęcki. – W szkole? Pewnie za ten zabazgrany zeszyt z wypracowaniem, co?

Chłopiec skinął głową.

– Rechter smary doł... – odruchowo pomacał się po siedzeniu i skrzywił z bólu.

– No, to dostałeś, Walik, coś chciał. A mówiłem, żebyś przepisał na czysto.